Rok 1898. Lwów, dnia 7. marca. Nr. 10.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ARTUR SCHNITZLER

POŻEGNANIE.

Od godziny już czekał. Serce biło mu gwałtownie, a chwilami takie miał uczucie, jakgdyby nagle zapomniał oddychać; chwytał wtedy kurczowo powietrze i starał się je wciągać głęboko, głęboko — ale mu to nie pomagało. Właściwie, mógł się już był przyzwyczaić do tego, wszak zawsze było tak samo!... Zawsze musiał czekać godzinę, dwie, trzy... często — naprożno. A nie mógł jej nawet wyrzutów robić z tego powodu, bo wiedział dobrze, że się bała dom własny opuścić, póki jej mąż tam pozostawał. Dopiero gdy tenże się oddalił, przybiegała zmęczona, zdyszana, niespokojna, by szybko wycisnąć mu pocałunek na ustach — i zaraz znów go opuszczała. Wówczas, gdy jej już nie było, zwykł był kłaść się na otomanie, wycieńczony, złamany zupełnie długiemi godzinami wyczekiwania. Ach, ta wieczna niepewność! Jakże go ona dręczyła, czyniła niezdolnym do wszelkiej pracy, niszcząc powoli cały jego organizm! Ciągnęło się to już tak przez kwartał cały, od samych początków wiosny. Co popołudnia od trzeciej godziny wysiadywał w swym pokoju przy spuszczonych storach, nie wiedząc co właściwie począć ze sobą; zaledwie starczyło mu cierpliwości do przeczytania gazety; książki nawet zaczynać nie próbował tylko wypalał papierosy jeden po drugim, aż cały pokój się napełniał gęstym, szaro-niebieskim dymem. Drzwi do przedpokoju zawsze były otwarte a on sam jeden pozostawał w domu, gdyż nawet lokaj nie śmiał być obecny kiedy ona nadejść miała. A jeżeli wtedy nagle dzwonek się odezwał, to go zawsze dreszcz przestrachu przejmował. Bo żebyż to choć ona była, żeby tylko nadeszła wreszcie — a wszystko byłoby dobrze... Tak mu bywało wówczas, jakgdyby nagle pękały krępujące go więzy a on znów stawał się wolnym, swobodnym, stawał się człowiekiem. I płakał czasami ze szczęścia, że już ją ma wreszcie. Chwytał ją wtedy za ręce i szybko wprowadzał do pokoju zamykając drzwi za sobą. A potem, bardzo im było błogo.

Ugoda między nimi stanęła taka, że on tylko do godziny siódmej wieczorem w domu pozostawać będzie, później nawet n i e w o l n o jej więcej przychodzić; powiedział wyraźnie, że po siódmej zawsze wyjdzie z domu, bo go długie czekanie i tak zbyt denerwuje. A jednak, zazwyczaj dłużej pozostawał u siebie i dopiero około ósmej schodził na ulicę. Z przerażeniem myślał wtedy o minionych godzinach i boleśnie wspominał ubiegłe lato, kiedy cały czas mógł poświęcać czemu sam chciał, kiedy w tak piękne dni letnie, jak obecny, godziny poobiednie i wieczorne spędzał gdzieś za miastem, kiedy już w lipcu mógł był wyjechać nad morze, kiedy był zdrów i szczęśliwy — i tęsknił teraz gorąco za wolnością, za światem a równocześnie też za samotnością... A jednak, opuścić jej nie mógł, bo ją ubóstwiał.

Dzień dzisiejszy wydawał mu się gorszym od innych; wczoraj także ani nie przyszła, ani mu nawet znaku życia nie dała. Siódma już dochodziła, a on wciąż jeszcze nie mógł się uspokoić ani pocieszyć. Najstraszniejszem było to, że absolutnie dostać się do niej nie miał sposobu. Mógł co najwyżej przejść się parę razy pod jej oknami, ale nie wolno mu było ani przyjść do niej, ani posłać nikogo, ani nawet u znajomych dowiadywać się o nią. Bo nikt nie przypuszczał, że się oni znają. Żyli ze sobą w bezmiernej miłości, pełnej niepokojów, ciągłego lęku i nagłych przestrachów, w miłości bardzo gorącej i tkliwej, z którą bali się zdradzić przed kimkolwiekbądź. Jemu się wprawdzie podobało, że ich stosunek był tak głęboko przed światem ukryty, ale takie dni, jak dzisiejszy, tem większą przez to stanowiły męczarnię.

Ósma godzina wybiła — ona nie przyszła. Przez ostatnią godzinę stał cały czas w przedpokoju i okienkiem, znajdującem się we drzwiach, wyglądał na kurytarz. W tej chwili właśnie na schodach zaświecili gaz. Powrócił tedy do pokoju i rzucił się na otomanę, a że już ściemniło się prawie zupełnie, więc usnął na chwilkę. Po upływie pół godziny powstał i zdecydował się wyjść trochę na miasto. Głowa go bolała, a nogi miał zdrętwiałe i sztywne, jakgdyby od długiego chodzenia.

Poszedł teraz w stronę jej domu i było mu niejako pociechą, gdy zobaczył story we wszystkich jej oknach pospuszczane; tylko w jadalni i sypialni widać było światło. Przez czas jakiś przechadzał się tam i napowrót po przeciwległym trotoarze, nie spuszczając wzroku z okien. Dopiero gdy na bramie stanęło kilka sług, oddalił się, by nie zwrócić na siebie uwagi. Tej nocy spał spokojnie i dobrze.

Dnia następnego długo pozostał w łóżku zrana; umyślnie zostawił w przedpokoju kartkę, żeby go nie budzić, dopiero o dziesiątej zadzwonił. Lokaj przyniósł mu śniadanie, na tacy leżały listy — od niej ani słóweczka. Ale to go bynajmniej nie martwiło, powiedział sobie zaraz, że tem pewniej właśnie poobiedzie sama przyjdzie, więc też cały czas do trzeciej godziny spędził dość spokojnie.

Z uderzeniem trzeciej, ani o sekundę wcześniej, powrócił z obiadu do domu. Odrazu usiadł na krześle w przedpokoju, żeby nie musiał wybiegać każdej chwili, kiedy usłyszy szmer w sieniach; był już teraz bardzo zadowolony, skoro tylko odezwały się czyjeś kroki na schodach — zawsze to choć cień nadziei. Ale każda z nich była płonną. Wybiła czwarta... piąta... szósta... siódma... — a ona i dziś nie nadeszła. Wtedy znowu pobiegł go swego pokoju i rzucał się jak zwierz w klatce, jęcząc z cicha, aż dostał zawrotu głowy i padł na łóżko. Rozpacz go chwytała — tego już dłużej znieść nie mógł. Ot, najlepiej mu będzie wyjechać daleko, daleko... Takie szczęście kosztuje go chyba zbyt wiele! Albo może jakie zmiany zaprowadzi w dotychczasowym porządku? — naprzykład godzinę tylko będzie czekał, lub dwie — ale tak? Nie, to stanowczo tak dalej iść nie może, w ten sposób musi się w nim wszystko wyczerpać, siły, energja, zdrowie, a wreszcie i miłość. Spostrzegł, że o niej samej teraz już wcale nie myśli, tylko mu coś dziko po głowie wiruje, jak w ciężkim śnie. Porwał się z łóżka, otworzył okno, i patrzył na ulicę w mrok. Ach! tu — tam — na rogu — może to ona? W każdej kobiecie zdawało mu się, że ją poznaje. Oddalił się wreszcie od okna; przecie ona już żadną miarą nadejść nie mogła, czas minął oddawna. I nagle wydało mu się strasznie niedorzecznem, że tylko tych kilka godzin przeznaczył na oczekiwanie. Kto wie? możeby ona właśnie teraz miała czas lub sposobność? — a może rano łatwiej jej będzie wydostać się z domu? I już postanowił sobie, co jej na przyszły raz powie, a usta jego szeptały bezwiednie: „Przez dzień cały będę czekał na ciebie, kochanie moje, od ranka, aż do późnej nocy". Ale w chwili, gdy je wypowiedział, zaśmiał się głośno sam z siebie: „Ależ ja oszaleję, oszaleję do szczętu". I znowu pobiegł przed jej dom. Wszystko tak samo było jak wczoraj, story spuszczone wszędzie, przez niektóre tylko przezierało światło. Znowu przechadzał się przez pół godziny tam i napowrót po trotoarze, i znów się oddalił gdy kilka pokojówek ukazało się na bramie. Miał to przekonanie, że one teraz patrzą na niego i mówią: „To ten sam pan, który i wczoraj o tym czasie tędy chodził". Poszedł więc dalej i minął kilka ulic sąsiednich; dopiero gdy z wież miasta uderzyła dziesiąta i poczęto zamykać bramy, powrócił na dawne stanowisko i dalej patrzył w okna kochanki. Teraz wszędzie już było ciemno, tylko w sypialni migotało jakieś słabe światełko. Spoglądał więc w górę jak zaklęty i nie mógł się z miejsca ruszyć; takim się znowu czuł bezsilnym i bezradnym jak małe dziecko... Dreszcz go przeszedł na samą myśl tego, co go teraz czeka. Więc znowu w niepewności ma spędzać noc całą? ranek? jutrzejszy dzień aż do trzeciej? Do trzeciej? A jeżeli ona i o trzeciej nie przyjdzie?... Próżna dorożka przejechała, skinął na woźnicę i kazał się powoli wieźć po pustych ulicach. Przypominał sobie ostatnie spotkanie z nią... Czy też nie była wtedy chłodniejszą niż zazwyczaj? Może go już kochać przestała?... Nie, nie! co to, to stanowczo nie! — Albo może w domu ją zaczynają podejrzywać?... nie, i to niemożliwe. Dotychczas przecie najlżejszej nie było poszlaki, wszak oni oboje tacy byli ostrożni — zwłaszcza ona. A zatem, jeden tylko mógł być powód: ona zachorowała i leży w łóżku. No i właśnie dlatego nie mogła mu nic dać znać. Ale jutro pewnie już wstanie i albo przyjdzie sama, albo mu jakąś wiadomość przyśle... A jeżeli dopiero za kilka dni będzie mogła łóżko opuścić? Jeżeli jest bardzo chora?... Nie, na miłość boską nie! Ona nie może być ciężko chora! Skąd znowu?

Nagle przyszła mu myśl zbawcza. Ponieważ miał już teraz pewność, że ona jest chora, więc mógł przecie posłać jutro do niej i zapytać o jej zdrowie. Niebezpieczeństwa przy tem żadnego nie było, bo posłaniec sam nie potrzebował nawet wiedzieć od kogo otrzymał polecenie, a w najgorszym razie mógł się wykręcić tem, że zapomniał nazwisko tego pana, który go posyła. Tak, tak będzie najlepiej! Albert uczuł się formalnie szczęśliwym, że mu to na myśl wpadło.

Noc minęła spokojnie, a i dzień następny również, nawet poobiedzie już przeszło bez wielkiej irytacji — wszak wiedział dobrze, że do wieczora męka jego skończy się z pewnością. Lecz tęsknił teraz za swoją panią silniej i goręcej, niż kiedykolwiek podczas dni ostatnich.

O ósmej godzinie wieczorem wyszedł z domu. Na rogu jednej z ulic mniej znanych, zawołał posługacza i kazał mu iść za sobą. Niedaleko jej mieszkania zatrzymał się i odesłał go z dokładnem poleceniem. Przy świetle latarni zobaczył która godzina na jego zegarku i oczekiwał spokojnie powrotu posłańca. Nagle jednak wpadło mu na myśl, że może jej mąż powziął podejrzenie, że będzie zbyt dokładnie wypytywał posługacza, a może nawet każe się tu do niego zaprowadzić. Pośpieszył więc za posłańcem, by go jeszcze zatrzymać, potem jednak zwolnił kroku i pozostał w pewnej odległości za nim, aż póki tenże nie wszedł do wiadomej bramy.

Albert stał bardzo daleko i musiał wytężać wzrok, by nie stracić z oczu tego domu. Już po trzech minutach zobaczył jak posługacz wyszedł. Czekał jeszcze chwil parę by się przekonać czy za człowiekiem nikt nie wygląda, potem pośpieszył naprzeciw niego. „No? cóż tam takiego?" zapytał. — „Wielmożny pan każe się kłaniać i powiada, że wielmożnej pani jeszcze ciągle nie lepiej — dopiero za kilka dni będzie mogła wstać". „Kto ci to powiedział?" — „Pokojówka, właśnie przed chwilą wyszła była z pokoju, zdaje się, że pan doktor przyszedł". — „I co ci ona takiego mówiła?"... Kazał sobie parę razy jeszcze wszystko dokładnie powtórzyć, aż doszedł do przekonania, że nie wiele więcej wie teraz, niż dotąd. Musiała jednak istotnie bardzo być chorą i prawdopodobnie z wielu stron dowiadywano się o jej zdrowie, więc też dlatego i jego posłaniec nie zwrócił szczególniejszej uwagi. — Ha! jeżeli tak, to tem bardziej wolno mu będzie jeszcze raz spróbować. Obstalował posłańca na dzień następny na tę samą porę.

„Dopiero za kilka dni będzie mogła wstać". — I to wszystko, czego się mógł dowiedzieć. Czy też ona myśli o nim? — czy może sobie chociażby w części przedstawić ile teraz cierpi przez nią?... Nic nie wiedział.

A może nawet odgadła, że to on właśnie teraz posłał do niej?... — „Wielmożny pan każe się kłaniać"... pan, nie pani... więc jej prawdopodobnie nawet nie powiedzieli o tem... A cóż jej brakuje takiego? Nazwy kilkudziesięciu chorób odrazu przemknęły mu przez myśl. No, ale w każdym razie przecie za kilka dni wstanie, więc to nawet nie może być niebezpieczna choroba... Dlaczego właściwie nie? Przecie to zawsze lekarze w ten sposób ludzi pocieszają; sam pamięta dobrze, że gdy jego ojciec był śmiertelnie chory, to także to samo powtarzano... Tak zamyślony, ani się spostrzegł, że począł biegać jak opętany; dopiero teraz, gdy się dostał na ulicę bardziej ożywioną, gdzie mu przeszkadzali przechodnie,

ochłonął trochę. Wiedział, że czas do jutrzejszego wieczora wyda mu się wiekiem.

Godziny jednak mijały, a on się dziwił, że taki był spokojny, że mu się tak nic wierzyć nie chciało w poważną chorobę kochanki; a w chwilę później znów ten jego spokój wydawał mu się ciężkim grzechem. Poobiedzie następnego dnia, po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu czytał sobie książkę przez parę godzin, tak, jak gdyby już nie znał żadnej obawy ani niepokoju.

(Dokończenie nastąpi).

ADAM KRAJEWSKI

PRZYCZYNEK DO HISTORJI CZASÓW SASKICH W POLSCE.

Dokończenie.

Dziwne to doprawdy oświadczyny braterstwa królowi, którego się poprzednio do wyjazdu z jego dziedzicznego kraju zmusiło. Tylko wyrafinowana perfidja pruska, cechująca charakter tego, ubóstwianego przez junkrów pruskich króla Fryderyka II. zwanego przez pochlebców „wielkim“ zdobyć się mogła na takie prawienie grzeczności temu, którego armia w niewiele dni potem istnieć przestała.

Zabezpieczywszy sobie przez wyjazd Augusta do Polski bezpieczeństwo w Saksonji, potrzeba było Fryderykowi najazd legalnie upozorować. Czyni on to też w pismie do swego tajnego radcy i upełnomocnionego ministra przy sejmie Rzeszy niemieckiej w Ratyzbonie, barona von Plotho w dniu 18. października, a w 10 dni po zwycięztwie na czele 40.000 armji nad 70.000 Austrjaków pod *Lobositz* w Czechach. Wyjaśniając w tem pismie powody i przyczyny, które go do wojny z Austrją skłoniły. powiada między innemi:

„Nasz dla króla polskiego osobisty (podkreślone) szacunek i przyjaźń, bynajmniej nie ustały. Próbowaliśmy przekonać go jeszcze za naszego pobytu w Saksonji o naszych dobrych zamiarach i chęciach i podawaliśmy mu sposoby do łatwego wyjścia ze wszystkiego, co byłoby dobrem dla nas i dla niego; jednak musieliśmy niestety dojść do przeświadczenia, że nasze dobre rady zostały odrzucane przez znanych złych doradców, którym król prawie ślepo ulega, a przezto i dla niego i dla kraju wynikły pewne niedogodności, które to ostatnie, szczególniej nieodzowne liwerunki prowiantu dla naszych wojsk, o ile to możliwe w obecnych warunkach, staramy się przeprowadzać łagodnie i po ludzku. Zdaje się jednak, że te reguły przyjaźni idą za daleko, jeżeli dwór wiedeński chce od nas żądać, abyśmy dla niego i dla króla polskiego odstąpili od tych praw przyrodzonych, które każdemu są najbliższe, a tem samem nasze kraje i naszych ludzi na zagładę i zgubę wydali“.

Los armji saskiej, w której, jak się to poniżej dowiemy, służyło wielu zwerbowanych w Polsce i to nawet wyższych oficerów, rozstrzygnął się w tydzień po tem piśmie do barona von Plotho. August myślał, że mu się jeszcze uda wyrzucić króla pruskiego z Saksonji; liczył zapewne na pomoc armji austrjackiej, która jakkolwiek zbita pod Lobositz. była jeszcze dość silną, aby pomaszerować do Saksonji i wyprzeć ztamtąd Fryderyka, gdyby jej się nadto było udało połączyć z saskiemi wojskami. Ale przebiegły Fryderyk zarówno był biegłym politykiem, jak i dzielnym i wszystko przewidującym wodzem i wiele mu na tem zależało, aby skończyć z armją saską, zanim austrjacki feldmarszałek Broune zdąży się z nią połączyć. Jakoż udało mu się to w zupełności i armja saska za jednym zamachem przestała istnieć prawie bez wystrzału. Było to już ostatnie usiłowanie Augusta wydobycia się z matni. Szczegółowy opis tego faktu znajdujemy w liście datowanym z *Berlina* w dniu 26. października 1756, pisanym przez Fryderyka do barona von Plotho.

„Nie mogę się dłużej powstrzymać, aby nie zakomunikować Panu niektórych szczegółów, dotyczących naszej ekspedycyi do Saksonji, a o czem Pan już zapewne coś nie coś wie. Poznasz Pan z tego, jak spełzł na niczem zaraz w zarodzie projekt feldmarszałka Broune, wybawienia Saksonji z jej położenia. Przegrał on bitwę pod Lobositz, a mimoto zamierzył raz jeszcze szczęścia spróbować, kierując korpus swój około 10000 głów liczący, ku Elbie, aby się przez nią przeprawić.

Wielka część tego korpusu składała się z piechoty i wojsk regularnych; postępowała też rzeczywiście pod komendą osobistą feldmarszałka Broune i generała Haddika aż do Mitteldorfu, niedaleko Schandau, gdzie się skoncentrowała i łatwo mogła przedsięwziąć pochód w połączeniu z Sasami, gdybyśmy szczęśliwymi ruchami naszej armji niebyli ich zmusili ze stratą wielkiej części straży tylnej, do odwrotu. Sasi, którzy nie mogli wiedzieć o tym nieszczęśliwym wyniku, nie otrzymali tak rychło wiadomości o marszu wojsk austrjackich, jak sądzili, że mogliby byli pochwycić za tę dobrą sposobność połączenia się i przejścia do Czech, co też ich skłoniło do opuszczenia korzystnego dotąd stanowiska i do przejścia rzeki Elby po moście pod zasłoną dział znajdujących się w Königsteinie, a czego myśmy ze swej strony nie wzbraniali. Jak wielkie było jednak ich zdziwienie, gdy się ujrzeli jak w sieć wzięci z przodu i z dwu stron przez zasieki, w których się znajdowało 12 batalionów naszych wojsk, reszta zaś zajęła w tym samym czasie obóz pod Pirną, przez nich niedawno opuszczony. W tej niemiłej sytuacji, gdy się spostrzegli opasanymi ze wszech stron, nie mieli Sasi innego wyboru, jak kapitulować — i kiedy feldmarszałek h r a b i a R u t o w s k i, ze strony króla polskiego, znajdującego się podówczas w miasteczku Königstein, zjawił się w naszej głównej kwaterze w Struppen z potrzebnem pełnomocnictwem, postawiliśmy niezwłocznie warunki kapitulacji i owe w 16. punktach zawarte istotnie podpisali.

Na mocy tej kapitulacji, poddała się cała armia saska wraz z karabinami i armatami jako jeńcy wojenni; jednak zatrzymała ona, co jeszcze pozostało z reszty bagaży, do swej dowolnej dyspozycji. Generałowie, sztab i wszyscy oficerowie, zobowiązali się nie służyć przeciw nam przez cały przeciąg wojny, w obec czego otrzymali pozwolenie nosić swe szpady tak jak przedtem i udawać się gdziekolwiek by chcieli w Saksonji; wojsku zaś pozostawiono wolność wstąpienia w naszą służbę. Bębny, sztandary i chorągwie mają być przeniesione do Königsteinu; natomiast nie dozwolono pułkom składać

tam ani karabinów, ani armat, namiotów, lub też jakichkolwiek przedmiotów wojennych.

Prócz tego postanowiono i zawarunkowano, że forteca Königstein pozostaje istotnie w ręku i do dyspozycji króla polskiego, jednakże, że w tej wojnie zachowa ona najzupełniejszą neutralność i nie może służyć żadnemu z naszych wrogów za obronę lub schronienie. Tak samo nie może obecna jej załoga na żaden sposób być zwiększoną, ani też nie może być obca żegluga na Elbie w najmniejszem przeszkadzaną. Nakoniec przyzwolono jeszcze, że tym oficerom, którzy o uwolnienie poproszą, a którego im marszałek hrabia Rutowski w imieniu króla polskiego udzieli, będzie wolno przyjąć służbę w naszej armji.

Wskutek tej kapitulacji, rozpoczęły pułki saskie zaraz tego samego dnia ze swych posterunków defilować i udawać się do przeznaczonych im kwater. Największa ich część weszła zaraz do naszej służby i złożyła przysięgę na wierność, z wyjątkiem oficerów, którzy korzystając z dobrodziejstwa danego im przyzwolenia, udali się gdzie który chciał.

Co się tyczy króla polskiego i jego osoby, okazaliśmy przy tej sposobności wszelki szacunek, jego stanowisku i godności przynależny. Udał się on z Königsteinu do Königsbrück, a ztamtąd do Warszawy. Księciu temu udzieliliśmy takie same paszporty, jakich żądał do podróży przez nasze kraje szląskie i księstwo Krossen; kazaliśmy także dostarczać mu tyle koni pocztowych, ileby zażądał. W tym także celu wydaliśmy rozkazy do naszych prowincyj, przez które Jego król. Mość król polski będzie przejeżdżał, ażeby podróż ta mogła się odbyć bezpiecznie i bez przeszkód."

W opisany wyżej sposób rozstrzygnął się los armji saskiej. Przestała ona istnieć faktycznie, bo jak sam Fryderyk przyznaje, wojsko bardzo ochoczo przeszło na jego stronę z wyjątkiem oficerów, którym honor na to nie pozwalał. Z tego wnosimy, że znaczna ich liczba musiała pochodzić z Polski, na co wskazywałoby i samo nazwisko naczelnego wodza, hrabiego(?) R u t o w s k i e g o. Polacy więc ratowali honor oręża saskiego, gdy wojsko, najemne, jak w ogóle za onych czasów, szło do tego, u kogo wypłata żołdu była pewniejszą i obfitszą.

August ujechawszy, a właściwie zmuszony ujechać do Polski, wymówił sobie widocznie w warunkach kapitulacji utrzymywanie własnej poczty wojskowej celem utrzymania kontaktu z ministerstwem swem w Dreźnie a Warszawą. Ale gdy jak we wszystkiem, tak i w tej sprawie, trudno było Fryderykowi dotrzymać słowa, mimo wszelkich zapewnień z jego strony i odwoływania się do „honoru, który mu był droższym nad życie" nie dotrzymał, rozumie się, królowi polskiemu i tego warunku. Dowodzi tego list króla pruskiego, datowany z Sedlitz dnia 9. listopada 1756 do saskiego generała-majora von Spörken. Fryderyk pisze:

„Otrzymałem list pański z daty 3. b. m. Nie złamię nigdy słowa, które dałem we względzie założyć się mających posterunków ułańskich dla ułatwienia przewozu listów między Warszawą a Dreznem. Przypomina sobie pan jednak, że przyrzeczenie to było udzielone jedynie warunkowo i że mnie pan wówczas ze strony króla, pańskiego władcy, zapewniłeś, że tenże żadną miarą nie odda swych w Polsce znajdujących się wojsk do dyspozycji wiedeńskiego dworu, aby się tenże niemi w obecnej wojnie posługiwał. Na mocy tego zobowiązania przyrzekam raz jeszcze, że zezwolę na ustanowienie tych posterunków ułańskich, z zachowaniem, rozumie się, wszelkiej ostrożności, jeżeli Jego król. Mość, władca pański, wojsk swych do dyspozycji wrogów moich nie odda. Jeżeliby jednak wbrew memu oczekiwaniu, zamysły jego w tym względzie uległy zmianie, natenczas sam pan przyznasz, że utworzenie tych posterunków ułańskich byłoby czemś niezręcznem: cały świat widziałby ich bowiem jako ludzi, których najgłówniejszem staraniem byłoby, obserwować wszystko co się na całej drodze dzieje i złe pogłoski o tem rozsiewać. Takie przekonanie wyrobiłem sobie i czekam odpowiedzi od pana, prosząc zresztą Boga, aby pana, mój panie baronie von Spörken zachował w swej opiece. *Fryderyk*".

Na tym liście urywa się dalsza korespondencja króla pruskiego z Augustem i w ogóle z dworem sasko-polskim. Nie jest zamiarem naszym opisywać dalszego ciągu tej wojny, która mogła była w następstwie przynieść ostatnią zagładę królowi pruskiemu, gdyby śmierć carowej Elżbiety nie była spowodowała wycofania sprzymierzonych z Austrją wojsk rosyjskich, a tem samem nie uwolniła Prus od najgroźniejszego nieprzyjaciela. Chcieliśmy tylko przez zaprodukowanie oryginalnych listów Fryderyka, rzucić światło na stosunek tych czasów, gdy naokoło granic Rzeczypospolitej wrzała wojna kilkoletnia, w której król polski jako równocześnie elektor saski tak wybitną odgrywał rolę, a u nas w Polsce cieszyli się panowie „błogim spokojem" jakiego Rzeczpospolita używała, a który to „spokój" i neutralność miały się tak fatalnie przyczynić do osłabienia powagi państwa w obec mocarstw sąsiednich i sprowadzić w niewiele lat później zgubne dla Polski porozumienie trzech ze sobą niedawno wojujących dworów, zakończone rozbiorem naszej ojczyzny.

Współczesne prądy w malarstwie.

Dokończenie.

Wszystko to, wyraźnie nosi cechy wpływów obcych, wszystkich narodowości, wyjąwszy Holandji, gdzie naturalizm jeszcze kwitnie. Nie wiele przeto podobne jest to wszystko do poprzedniego malarstwa polskiego, którego specjalny charakter tak wyróżnia nasze dzieła na wystawach zagranicznych. Powstało zagranicą malarstwo o charakterze ogólno-europejskim — do czego się przyczynili wszędzie niemal angielscy prerafaelici (Burne-Jones), — z niemców Böcklin i Klinger, oraz francuzki stylizowany Puvue de Chaveau ze swojem symboliczno-archaicznem wykonaniem.

Ci wymienieni powyżej, są też prawie wyłącznie twórcami nowo-romantycznej szkoły. Najcharakterystyczniejszym u nas malarzem, który rozpoczął jako impresjonista w pejzażu, a w późniejszych swoich dziełach łączył impresję z symbolizmem i mistycyzmem, był Podkowiński. Podawano go mylnie jako naśladowcę Böcklina, Stucka, Klingera i innych; był on

bowiem samym sobą, szczególnie w obrazie p. t. „Szał". — „Nocturn", „Marsz żałobny" i „Ironja" przypominają tylko zewnętrznie Böcklina; jedynie wyraźnie, zarysowuje się jako wpływ na jego twórczość nastrój współczesnej literatury, zawarty w dziełach: Maeterlincka, Pawła Verlaine'a i Boaudellaire'a. Pochodniom światła przeciwstawiono mroczne światło symbolu i mistycyzmu, jakby grze barw słonecznych — romantyczny blask księżyca. Burne-Jones i Böcklin są to ojcowie-przewodnicy i luminarze nowego kierunku. Romantyczny sposób patrzenia na świat, wymaga subjektywizmu; indywidualizm zaś malarza wytwarza w pewnych warunkach chorobliwą gonitwę za oryginalnością. „Nawskróś indywidualnym winien być każdy artysta" — oto hasło najmłodszej szkoły. Takimi mogą być jednak tylko wyjątkowo wyposażone talenta; mniej uzdolnieni są dziwacznie spaczeni i nic więcej.

Prace Podkowińskiego doskonale ilustrują obecnie panujące dążności w malarstwie.

Publiczność nasza t. j. galicyjska, znała prace Podkowińskiego jedynie z opisów i nazwiska. które często spotykała w pismach warszawskich. Po jego śmierci dopiero przysłano do Lwowa cały szereg poprzednio w Krakowie wystawionych prac, celem zaprezentowania go nam.

Równocześnie pisma warszawskie poświęciły całe szpalty pamięci tego tak wybitnego i za życia nie dość cenionego talentu, rozbierając krytycznie, kolejno, jego dzieła.

Z naszych pism, w jednem tylko znalazłem obszerną, rozumniejszą ocenę jego dzieł; reszta wypisywała tanie pochwały lub zarzuty, wynikające najczęściej, jak zresztą zwykle u nas, z nieznajomości rzeczy tego który pisał krytykę. Krótki pogląd na rozwój tej nader zajmującej indywidualności artystycznej, który poprzednio podałem. nie może oczywiście dać dokładnego obrazu rodzaju i kierunku malarstwa jakim ś. p. Podkowiński hołdował. Brak miejsca nie pozwala mi rozpisywać się szerzej, komu zaś na tem zależy ten znajdzie trafną i wyczerpującą charakterystykę prac Podkowińskiego w niejednym artykule pism warszawskich.

Publiczność, a raczej szczupła garstka melomanów interesujących się bardziej od ogółu malarstwem i poszczególnymi talentami, przyjęła dzieła Podkowińskiego w zasadzie dobrze, choć różniła się, w zapatrywaniach swych na twórczość jego między sobą bardzo. Jedni uważali go za artystę, który mógłby był stanąć na wysokości swego zadania, mając tak niezwykłe ku temu dane, jak wrodzoną i wykształconą inteligencję, wrażliwość malarską, oraz sporo intuicji i subtelne poczucie nastroju — stwierdzali jednak równocześnie, że nie doszedł dokąd zmierzał, ponieważ sam zboczył z drogi wiodącej do upragnionego celu, rozpraszając swe zdolności i gubiąc się w mglistości i niemalowniczości obranych przez się tematów. Drudzy zaś twierdzili, że właśnie był na najlepszej drodze i gdyby tylko żył jeszcze i miał czas skrystalizować się niejako w jednym przewodnim kierunku, ujrzelibyśmy niezawodnie dzieła pierwszorzędnej wartości artystycznej.

Niestety, najwięcej było takich, którzy odsądzali go od wszystkiego, nawet od talentu, który przecież bił wprost od jego płócien świeżością i siłą. Posądzano go o chęć zdobycia taniej reklamy, nie rozumiejąc oczywista prawdziwych intencyj artysty a odmawiając jemu samemu zrozumienia tego, co chciał malować. Z ironicznym uśmiechem przebąkiwano o chorobliwości pojęć i t. p., słowem, miano go za umysł anormalny. Tych ostatnich było niestety za wielu i artysta, nosząc się z myślą stworzenia czegoś lepszego, wyższego, wiedział o tem dobrze, czuł, że go nie rozumieją, nie oceniają, a to nieraz paraliżowało jego zamysły, odbierało chęć do pracy i zatruwało życie. Jedynie koledzy po pędzlu, przyznawali mu wielkie zdolności i twórczość idącą nową, samodzielnie obraną a wytkniętą drogą — daleką od utartych ścieżek, uznanych i uświęconych powodzeniem starszych odeń kolegów — a byli to młodzi, najmłodsi z malarzy. Podkowiński był pierwszy z malarzy polskich zwolennikiem nowego kierunku, który się pojawił we Francji, Anglji a poczęści i w Niemczech. Sam tego wszystkiego nie stworzył wprawdzie, jak wielu mylnie utrzymuje, ale przywiózł z Paryża, gdzie był na studjach, i przejął się tym nowym prądem, który u nas zaszczepiał: mimoto, nie był niczyim naśladowcą. Pokrewieństwo duchowe z obcymi, jakkolwiek niezaprzeczalne, mające nawet pozorne, zewnętrzne podobieństwo w wykonaniu, przekonywa przecież siłą rzetelnie odczutych, oryginalnie i samodzielnie pomyślanych tematów (w których mimo wszystkiego duch i temperament polski widnieje), że nie był naśladowcą. Szał, jako pojęcie czysto abstrakcyjne, dziwnie pięknie uplastycznił w swym obrazie. Wyobraża on olbrzymiego konia o kształtach apokaliptycznych, w szalonym pędzie strąconego prawdopodobnie z jakiejś niebotycznej skały w bezdenną przepaść. Koń, którego szyję obejmuje konwulsyjnym ruchem postać obnażonej kobiety, pnie się rozpaczliwym wysiłkiem w górę. Wytrzeszczając oczy dobywa ostatek sił i pieni się, lecz naprożno — niechybna czeka ich zagłada w tej beznadziejnej walce wśród olbrzymich skał i strasznej — czarnej jak noc przepaści. Kobieta jednak ufnie, bo z wyrazem pewnej słodyczy i rezygnacji w na pół przymkniętych oczach i odchylonych wargach — coś niby boleść nieokreśloną i rozkosz, niby lęk wyrażających — przytula się, silnie obejmując miękkim ruchem śnieżnych ramion szyję swego dzielnego rumaka... To przeznaczenie!

O ile koń jest wyrazem olbrzymiaj energji i pędu, o tyle kobieta mimo szalonej akcji obojga, zachowuje wyraz bierności i spokoju — miękkość i słodycz, którą artysta przepięknie zdołał uplastycznić okrągłemi linjami kształtów i jasnym, ciepłym kolorem. To zalety wykonawcze samego „aktu". Włosy koloru płynnego złota, rozwiane, a ujęte w formy języków płomiennych, ogniste swym blaskiem, tłómaczą niejako myśl autora, chcącego i w nich wyrazić namiętość — szał.

Ten koń i włosy, to najżywsze momenta obrazu, najbardziej ilustrujące temat. Z połączenia tych dwóch rzeczy. włosów i płomieni, jako połączenia w jeden akord koloru i ornamentu rysunku, wybrnął Podkowiński z takiem wirtuozowstwem, jakie tylko u mistrzów się spotyka.

Ilustracja namiętności, podobnie jak niszczący element ognia temi rozwianemi włosami o świetlanym kolorze, ta harmonja w jaką to zlano, są doprawdy genjalnym pomysłem. Ciało postaci kobiecej jest również w świetlanym trzymane kolorycie, a w jego ruchu, dyskretnie, lecz dość wyraźnie zaznaczono wewnętrzną burzę; więc wyskakuje ono z ogólnie ciemnej masy silnym, szlachetnym efektem kolorystycznym. Skały, przepaść i koń, tworzą jedną ponurą całość, a te kształty nadnaturalne, fantastyczne, nie obserwowane wprost z natury — znakomicie są pomyślane i oddane potężnie.

Widzimy z tego pobieżnego opisu, że rzecz była i dobrze pomyślaną i przetrawioną i wykonaną odpowiednimi środkami i efektami technicznymi, stosownie do obranego tematu. „Szał" tworzy całość wywierającą wrażenie jednolite i silne; nic tu nie psuje całości, żadne akcessoria... Dzieło to ma także swoją historję, może nie wszystkim znaną: artysta chciał je zniszczyć w przystępie złych myśli i żalu do tych, którzy go nie uznawali; przeciął płótno przez pół, ale później ktoryś z kolegów rzecz naprawił tak, że ani śladu owego cięcia które autor swemu płodowi zadał, nie odnajdzie.

Nocturn, Marsz żałobny i Ironja należeć miały, o ile mi się zdaje, do cyklu obrazów, którego artysta nie zdołał wykończyć zaskoczony wczesną śmiercią. O tych pracach trudniej sobie wyrobić zdanie, zwłaszcza, nie mając kompletu pod ręką. Ostatecznie, dekadentyczne wpływy francuskie biorą w nich górę nad własną inwencją. a myśl przewodnia nie wszędzie się tłómaczy. Wogóle, w tych ostatnich obrazach, mniej czuję Podkowińskiego.

Opracowując szerszą kompozycję, malarze dziś chętnie posługują się formą tryptyku lub cyklu. Forma to wprawdzie nie zupełnie nowa, ale zawsze mniej zużyta. Główna kompozycja zajmuje środek i w większy zazwyczaj ujęta jest format; wyprzedzona bywa odnośną mniejszą w formacie, jakby prologiem, a zakończona takąż co do rozmiarów, niby epilogiem. Całość ma jeden przewodni nastrojony ton: stylistyczny rysunek, który nieodzownym jest artykułem symbolizmu. Po malarsku lepiej wychodzi rzecz zamknięta w tryptyku niż w cyklu obrazów, ta bowiem forma częściej bywa użytą dla ilustracji lub kartonów, z których każdy inną przedstawia scenę, choć cały cykl należy do jednej, z góry już powziętej myśli i nastroju. W samym nowym zwrocie malarstwa, panuje już dawno dwoistość: symbol i mistycyzm, choć pole działania ich jest wspólne: pole fantazji i majaczeń. Wszędzie rozbrzmiewają fanfary i pochwały angielskich prerafaelitów i Böcklina, szczególnie w ostatnich dniach, z powodu jego jubileuszu. Ich się uważa za twórców panujacego kierunku i w ich imieniu t. j. zasłaniając się nimi, popełnia się — wiele głupstw i parodji w malarstwie.

Ponieważ symbolizm ze stylowym swym rysunkiem ma w sobie wiele pierwiastków dekoracyjnych w linji i kolorze, przeto w pracach mających przeznaczenie więcej dekoracyjne, może i powinien być szeroko i bez zastrzeżeń użyty. Modność dawniej używanych ornamentów z nieodłącznym swoim szablonem i jednostajnym co krok powtarzającym się motywem, ustała; dziś komponuje się dowolnie, swobodnie rozwija się i komplikuje symboliczny motyw ornamentacyjny lub figuralny. Zaznacza się to już wyraźnie nawet w sztuce stosowanej do przemysłu.

Te same ewolucje co malarstwo, przechodzi i rzeźba, ale powolniej, i to co już w malarstwie jest rzeczą dokonaną, to w rzeźbie dopiero powstaje. Natura materjału nie pozwala rzeźbiarzom na taką swobodę w komponowaniu i rozwijaniu swych fantazyj jakiej używają dziś malarze, ale i oni nie są obojętni na nowe hasła i prądy. *Leon W...*

FRANCISZEK MIRANDOLLA

BHARAVIRTAM

(Ofiara poranna).

Już się wznosi dym,
Już żółte przebłyskują
Ogni włosy
Po pod niebiosy;
Pójdą i rozprują
Serce Adanadim...
Od was wy włosy jasne,
Czernieje las
Od was wy druhy jasne
Od was
Zajął się i płonie
Żar — życie w ludzi łonie
I płonie! i płonie!...

Dla twoich stóp
Nie ma twardego kamienia..
Twój duch, to gród,
To siła przeznaczenia.
A jednak gdzie nie ma cię
Wszystko maleje i mrze
I mrze! i mrze!...

Od twoich ust
Tysiąc płonących wieje chust
I żar się zapała
Co żyć zniewala...
Serce bije w łonie
I ogniem oko płonie
Płonie! Płonie!...

Tyś szał
Co wieki w chaos wlał
By ryczał i tlał
I lawę lał...
Bo świat to grób,
A człowiek trup,
Gdy ty na zimnych rano nie siędziesz niebiosach.
Przybywaj, błagamy cię!..
Już długo leżysz w śnie
Czekamy z pochodniami
Czekamy cię z sercami —
Zapal je!..

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Dzień dobry, naczelniku! — rzekł Njaedel, wyjął żelazo i wyciągnął miarę, aby zmierzyć głębokość dziury.

Gdy się jednak dowiedział, że list przyszedł od Andersa, rzucił wszystko i zlazł z kamienia.

Weszli do izby i zapalili światło. Było jakoś nieprzyjemnie w izdebce; łóżko było nieposłane a podłoga prawie czarna. Njaedel usiadł na wprost naczelnika pilotów i uważał pilnie na niego. Njaedel wychudł, a rękami wymachiwał dokoła siebie niecierpliwie.

Być może, iż naczelnik pilotów mógł się w istocie trochę pospieszyć. Ale to taka trudna rzecz czytać list: najpierw trzeba porządnie wyczyścić okulary, obejrzeć kopertę, a potem ją delikatnie rozciąć z jednego brzegu. Była to wielka urzędowa koperta z szarego papieru, a nawet z pieczęcią.

„Wielce szanowny pan naczelnik pilotów Laurenty Boideman Seehus!"

„Otrzymanie pańskich dwóch listów z d. 1. września i 20. października roku bieżącego potwierdza się niniejszem. Ponieważ zdaje się, iż posiadasz pan pewne pełnomocnictwo mego brata, zwracam się do pana z prośbą, abyś memu wyżej wymienionemu bratu zakomunikować zechciał treść mego niniejszego listu. Z pańskiego wyżej wymienionego listu z dnia 20. października rb. zdaje się wynikać, ze brat mój żywi tę źle uzasadnioną zasadę, iż jego spór z posiadaczem chaty Sörenem Börevigiem co się tyczy wymierzenia sprawiedliwości o drogę do łoziny, wzięto już do rąk w celu bezpośredniego opracowania go. Tak się jednak rzeczy nie mają. Według szeregu spraw nie mogliśmy się jeszcze zająć wymienionym sporem..."

Naczelnik zatrzymał się trochę.

— Przeczytaj to jeszcze raz — rzekł Njaedel.

Naczelnik przeczytał ten ustęp raz jeszcze.

Njaedel wstrząsnął głową; nagle jednak skoczył i swą ciężką pięścią uderzył o stół, tak że futerał od okularów naczelnika poleciał wysoko w powietrze.

— No, no, Njaedel, przeczytajmy najpierw list do końca. Może najlepsza rzecz przyjdzie dopiero na samym ostatku:

„W ogóle chciałbym prosić pana naczelnika pilotów, aby wymienionemu bratu wytłómaczył, że sprawa takiej doniosłości jak nam przedłożona, nie może być bardzo znacznie w swym przebiegu przyspieszaną bez narażenia się na wielką, osobną pracę i różne koszta. Należy przytem zauważyć, iż należy przyjąć, że odwrotną pocztą przysłana kwota 200 koron posiada istotne znaczenie dla przyspieszenia w załatwieniu sprawy. W podobny sposób oświadczam niniejszem gotowość przyjąć na siebie rozporządzenie tym funduszem bez powiększania kosztów dla stron"...

— Rozumiesz to?

— Nie — odparł Seehus i przeczytał raz jeszcze, potem jednak zawołał: — Aha! Teraz mam... Musimy smarować!

— A to co za djabeł?

— Widzisz, ja to rozumiem — rzekł naczelnik pilotów wesoło. — Jak jeszcze na „Nadzieji" konsula Garmana jeździłem na Sandgsgaard, to konsul mówił zawsze, gdy miałem jechać ze śledziami na morze Bałtyckie: — „Słuchaj no, Seehus — mówił konsul — jak przyjedziesz do Rygi, to musisz urzędników cłowych i dozorców i tę całą hałastrę smarować, jak tylko umiesz najlepiej. To nigdy się nie opłaci oszczędzać przy rzeczach koniecznych". I niejeden rubel, niejedna butelka wódki poszła na to smarowanie, możesz mi wierzyć. To musi być coś takiego, co twój brat myśli...

— Czy myślisz, że król każe sobie za to płacić?

— Król! — odparł Seehus i uśmiechnął się zakłopotany — nie stary! Szelągi topnieją, nim się tak wysoko dostaną. Te bierze jeden albo drugi elegancki gałgan w surducie haftowanym złotem, który pójdzie do króla i zapyta go się o twój brzeg z łoziną. W Petersburgu mianowicie widziałem raz takiego; jechał dwoma końmi w szorach, dźwięczących od srebra, a nie posiadał ani jednego rubla, któryby nie był łapówką; subjekt naszego ajenta to mówił.

— Tak, tak, już wierzę, że to tak jest — rzekł Njaedel.

— Widzisz, w każdym razie, że chce mieć pięćdziesiąt talarów, może za swój własny trud.

— Ach, zkądby tam Anders odemnie brał pieniądze! — rzekł Njaedel urażony.

Naczelnik czytał dalej:

„Co się tyczy omówionego w kilkakrotnie już wymienionym liście Pańskim odszkodowania za pobyt mojej kochanej siostrzenicy w moim domu, to o tem z mej strony nigdy mowy nie będzie".

— A co? Nie powiedziałem? — zawołał Njaedel dumnie.

„Oby tylko pobyt jej pod moim skromnym dachem był dla niej prawdziwem błogosławieństwem. Umysł młodości jest łatwo dostępny, aż nadto łatwy dla wszystkich marności i próżności tego świata, a tylko bardzo mało zważa się na rady i upominania starszych. Wiele złego czyha na młodą dziewczynę w wielkiem mieście, tak, że musimy się szczerze modlić i pragnąć, aby nasza kochana Krystyna zamknęła uszy na zwodnicze pochlebstwa, a otworzyła je dla napomnień ludzi doświadczonych.

Potrzeba, abyśmy wszyscy mieli otwarte uszy dla głosu prawdy, póki jeszcze czas.

Z prawdziwym szacunkiem

Anders Mo".

— Tak! ten Anders, ten Anders, — rzekł Njaedel z podziwem — tak myślała zawsze matka, gdy mówiła: „Ty, Njaedel, jesteś sztokfisz, ale..."

— Chciałbym wiedzieć, co on przez to myśli? — szepnął naczelnik poważnie — wygląda to tak, jakby tam ktoś łaził i czyhał na Krystynę.

— Czyś ty oszalał? Co tu począć?

— Tak musimy napisać, ażeby uważała...

— I pomówiła z Andersem... Napisz to jej naczelniku, ażeby we wszystkiem słuchała Andersa.

Seehus wziął zaraz do rąk papier, pióro i atrament, które Njaedel teraz sobie kupił i napisał: „Kochana Krystyno" — a potem zaczął się długo namyślać.

— No i cóż naczelniku, utknąłeś?

— Oho, wcale nie! — odparł ten przekonywująco i zaczął pisać dalej:

„Z młodością jest ta sama historja, co z tym wielkim duńskim buhajem w Saandsgaardzie; ale jeżeli się dobrze namyślę, nie mogę ci opowiedzieć tej historji z buhajem, bo ma paskudny koniec. Ale dlatego prosi cię twój ojciec, abyś we wszystkiem, co cię spotka radziła się stryja Andersa. Gdyż są najrozmaitsze pokusy dla młodości, jak naprzykład Amalja, moja siostra — tak, to już dwadzieścia lat temu, jak umarła, a mówiła że to był najpiękniejszy dzień w jej życiu; było to mianowicie 1 lutego, jak umarła, w tym roku, w którym piorun grzmotnął w sołtysową stajnię, a to wszystko przez pokusy miłości; a prócz tego był to jeszcze tęgi chłop, wysoki, a miał twarz jak cukierek i dzisiaj jeszcze mieszka tam w mieście, ale nie wymieniam żadnego nazwiska; tylko on nie wie, gdzie ma patrzeć, gdy się spotkamy i udaje, że mnie nie widzi wcale. Tak się stało niejednej dzielnej dziewczynie. Dlatego też każe cię prosić twój ojciec, abyś się ze wszystkiem zwracała do stryja Andersa i miała do niego najzupełniejsze zaufanie.

Na morzu teraz co dnia burza i nie ma wcale żaglowców, co jest dobre, gdyż noce są teraz ciemne, bez księżyca, ale parowce nie troszczą się o nic, co dla mnie jest zagadkowem zwłaszcza wobec tego, że są całe z żelaza; ale czytałem w gazecie, że teraz wszystko na pokładzie ma być z żelaza, aż do masztów i lin, co mi jednak djabelnie wygląda na kłamstwo. Twojemu ojcu dobrze się wiedzie, miałem powiedzieć.

Twój bardzo oddany

Laurenty Seehus."

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

W tece pośmiertnej ś. p. Andrzeja hr. Fredry pozostało kilka większych rękopisów, między innemi utwór sceniczny, przeznaczony pono dla sceny lwowskiej.

Próbę poetyckiego opracowania trylogji Sienkiewicza podjął znany literat, zamieszkały w Petersburgu p. Leon Bel-mont (pseudonim), który zamieścił już w ostatnim numerze „Kraju" ustęp z „Pana Wołodyjowskiego" (opowiadanie łucznika Muszalskiego), w bardzo zręczny i literacko wytworny sposób przyobleczony w szatę poezji. P. Bel-mont dodaje w przypisku, że uczynił to w mniemaniu, że słowo Sienkiewicza, gdy udźwięcznione zostanie rymem — z natury rzeczy łatwiej utkwi w pamięci, pragnącej je zachować.

W Warszawie otrzymał p. Golez prawo wydawania miesięcznika p. t. „Światło", poświęconego wyłącznie sztnce fotograficznej. Redaktorem „Światła" będzie znany przyrodnik p. Boguski.

W ostatnim numerze „Przeglądu lit." znajdujemy ciekawy przyczynek do studjów nad twórczością J. Słowackiego p. t. „Ksenia", pióra A. Zdziorskiego. P. Bartoszewicz ogłasza tamże dalszy ciąg korespondencyj J. I. Kraszewskiego z ciekawymi komentarzami.

Premjery: Zygm. Sarnecki, b. redaktor „Świata", utalentowany autor „Febris aurea", „Dworaków niedoli", „Cud dziewicy" i t. d., napisał nowy utwór sceniczny p. t. „Evviva l'arte". Autor przeznaczył tę sztukę dla sceny warszawskiej. — W teatrze „Rozmaitości" w Warszawie wystawiony będzie w tych dniach dramat K. Glińskiego p. t. „Almanzor".

W Berlinie napisał tragedyę p. t. „Alorya" b. minister wojny Verdy du Vernois, którego widocznie zachęciły do dramatycznej pracy laury cesarza Wilhelma II.

Marcelina Sembrich-Kochańska zawarła kontrakt z p. Jaunerem, dyrektorem Carl-teatru w Wiedniu, co do urządzenia włoskiej „Staggione", począwszy od 15 kwietnia. Wiedeń z góry się już cieszy na przybycie „polskiego słowika".

Literaci skandynawscy wydają pismo zbiorowe z artykułem króla Oskara na czele — ku uczczeniu 70-letnich urodzin Henryka Ibsena.

Cyrano de Bergerac, znakomitą sztukę poety Rostanda, która doznaje obecnie w całej Francyi entuzjastycznego przyjęcia — tłómaczy na język polski p. Wł. Zagórski (Chochlik).

W jednym ze starych domów Tryjestu znaleziono obraz Van Dycka. Przedstawia on portret młodej księżnej z domu Gonzagów.

Koncerty. Koncert kompozytorski Wł. Żeleńskiego, mianowanego członkiem honorowym warsz. Tow. muzycznego, odbył się kilka dni temu w Warszawie z wielkim sukcesem. Powodzenia doznała także w Warszawie p. Mira-Heller-Olszewska na koncercie, urządzonym z p. Wierzbiłowiczem.

Na ostatniem posiedzeniu komisyi sztuki w krak. Akademji Umiejętności omówił prof. Jerzy Mycielski dwa listy malarza Norblina, znajdujące się w archiwum ks. Radziwiłłów w Nieborowie.

Cosmodike. Międzynarodowy organ prawniczy wychodzić ma w Berlinie pod redakcją dra Harpera.

Wydawca Donbledoy w Ameryce nabył od M. Jokay'a wyłączne prawo na przekłady jego powieści w Ameryce.

Fr. Żmurko wystawia w Warszawie swój nowy wielki obraz p. n. „Gwiazda Betlejemska".

Słynna artystka z „Deutsches Theater" w Berlinie, p. Sorma, udała się na dłuższy czas do Ameryki, gdzie zamierza wystąpić gościnnie.

Nową operę Brühla p. t. „Der Husar" wystawił teatr „an der Wien". Jest to opera komiczna, do której libretto napisał p. W. Léore.

„Krzyżaków" H. Sienkiewicza drukuje w przekładzie miesięcznik: „Russkaja Mysl".